I. 128. 149

BOY

MARKIZA

S. A. KRZYŻANOWSKI
W KRAKOWIE.

KRAKÓW — S. A. KRZYŻANOWSKI
WARSZAWA — E. WENDE I SP.

Markiza i inne drobiazgi

Tadeusz Boy-Żeleński

S. A. Krzyżanowski E. Wende i Ska, Kraków; Warszawa, 1914

Pobrano z Wikiźródeł dnia 28 sierpnia 2025

BOY.

M A R K I Z A
I INNE DROBIAZGI.

KRAKÓW 1914.
NAKŁADEM S. A. KRZYŻANOWSKIEGO.
WARSZAWA, E. WENDE I SKA.

TREŚĆ.

Str.
MARKIZA 5
DUSZA POETY 11
UWIEDZIONA 17
KAPRYS 25
PIOSENKA MEGALOMANA 29

MADRYGAŁ Z POD CIEMNEJ GWIAZDY 35
WOLNY PRZEKŁAD Z ASNYKA 39
DEDYKACYA 45
WIERSZYK, KTÓRY SAM AUTOR UWAŻA ZA NIEBARDZO MĄDRY . 49
KŁOSKI 55
Z „ELEGIJ“ PAWŁA VERLAINE’A 61
Z TRYUMFALNYCH DNI Ś. P. POLSKIEGO KABARETU 71

W DRUKARNI E. i Dra K. KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Boy-Żeleński.*

MARKIZA.

Obrazek ten wykonany był w inscenizacyi pani Jadwigi Mrozowskiej w następujący sposób: Sala przyćmiona; światło rzucone reflektorem oświetla estradę, w głębi której znajduje się ciemny ekran. Jako akompaniament muzyczny menuet z „Don Juana“ Mozarta. Po pierwszych taktach rozsuwa się zasłona w środkowej części ekranu; ujęta w stylową ramę, ukazuje się postać kobieca, ubrana w kostyum modnisi dworskiej z epoki Ludwika XIV. Przez parę chwil pozostaje bez ruchu, upozowana jakgdyby na starym portrecie; stopniowo, pod wpływem dźwięków melodyi, twarz się ożywia, oko nabiera blasku, cała postać przegina się w rytmicznych poruszeniach. Wreszcie opuszcza ramę i, menuetowym krokiem, występuje na estradę. Wykonawszy kilka *pas* tanecznych, zaczyna mówić; a to w ten sposób, iż pierwsze strofy deklamacyi nieomal padają w rytm melodyi. Muzyka zamiera i cichnie zupełnie w ciągu czwartej zwrotki, powraca na chwilę z początkiem dziesiątej, i znowu z początkiem szesnastej, odkąd już towarzyszy do końca. W połowie ostatniej zwrotki Markiza krokiem menuetowym cofa się w głąb ramy, z której mówi ostatnie dwa wiersze, poczem znowu, stopniowo, zastyga w nieruchomość portretu. Zasłona zasuwa się zwolna.

MARKIZA.

OBRAZEK SCENICZNY.

Pani Jadwidze Mrozowskiej.

Z odległej kędyś krainy,
Z wieków co dawno przebrzmiały,

Przyszłam do was w odwiedziny,
W rynsztunku mej dawnej chwały.

Obca tu jestem: więc staję
Nieśmiało oto i skromnie —
Czy z was mnie który poznaje?
Mówcie, czy kiedy śnił o mnie?

Czym może kiedy, czasami,
Z kartek pożółkłej gdzieś książki,
Wykwitła nagle przed wami
Strojna w róż, muszki i wstążki?

Jam jest Markiza: ta sama,
Znana wam z dawnych powieści,
Ideał: kochanka, dama,
Co razem gardzi i pieści,

Co razem nęci i kusi,
W powabne iskrząc się błędy,
To znów w snach dławi i dusi
Zmorą straszliwej legendy;

Ja, której kaprys korony
Królewskie deptał tą nóżką,
A czasem znowu, szalony,
Paziów przygarniał w me łóżko;

W pochlebstwie od miodu słodsza,

W szyderstwie jak pocisk prędka,
W pieszczocie od bluszczu wiotsza,
To jak stal ostra i giętka,

Ja, której miłosny zakon
Wcielił do kunsztów swych ciemnych
Trucizny subtelnej flakon
I sztylet zbirów najemnych,

Ja, co drobniuchną mą dłonią
Zalotnie przysłaniam oczy,
Śledząc z uśmieszkiem jak o nią
Krew strumieniami się toczy,

Z salonów moich złoconych,
Z mej gotowalni pachnącej,
Z ogrodów moich strzyżonych,
Z lektyki mojej błyszczącej,

Zeszłam tu do was, na chwilę,
Ot, tak, zachcenie kobiece,
Ot, kaprys, jak innych tyle,
Aby, nim rychło odlecę,

Tchnąć ku wam brzmieniem echowem
Minionych wieków piosenki,
Poigrać kuszącem słowem,
Krętem jak loków mych pęki,

Zmienić w majaków gorączkę
Sen waszych nocy spokojnych,
Obudzić w was słodką drżączkę
Pragnień zawrotnych, upojnych;

Rozniecić ognie najświętsze,
Przez które żyję i ginę,
W serc waszych wcisnąć się wnętrze
I, bodaj na tę godzinę,

Przerobić na moje prawo
Dusz waszych pustą zawiłość,
Że życia jedyną sprawą
Jest miłość, ach, tylko miłość!

Że kto u stóp mych wiek strawi,
Najsroższe cierpiąc męczarnie,
Choć wszystką krew z serca skrwawi,
Ten dni swych nie przeżył marnie;

Że, jeśli zechcę, odmienię
W słodycz najcięższą niedolę,
Bo jedno moje spojrzenie
Ach, wszystkie uleczy bole;

Że jeśli szał czyichś rojeń
Me serce podzielić raczy,
Ach, wobec takich upojeń
Cóż szczęście aniołów znaczy!

. . . . . .

Idę już: tak, czas mi w drogę —
Żyjcie szczęśliwi, żegnajcie;

Ja jedno radzić wam mogę:
Kochajcie, tylko kochajcie....

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

DUSZA POETY.

SCENA ESTRADOWA.

Sala przyćmiona. Scenka oświetlona seledynowem światłem. Na kanapie leży poeta i chrapie, od czasu do czasu mu się odbija. Na podłodze stoi miednica. Akompaniament gra bardzo delikatnie ustęp z „Karnawału“ Schumana p. t. „Chopin“. Z ciała poety wychodzi jego dusza w kształcie powabnej postaci niewieściej, odzianej w powłóczyste gazy i tak się żali przed publicznością:

Usnął. Usypia. Jeszcze chwila jedna,
A już polecę, na krótko, niestety!
Ulecę w przestrzeń ja, skazanka biedna,
Dusza poety...

Ha! jakaż dola! Potęgą nieznaną
Na wiek wtrącona w to leniwe cielsko,
Więzić w niem muszę mą niepokalaną
Gloryę anielską...

Jedno wytchnienie, to gdy sen go zmorzy,
Lub gdy z opilstwa legnie, jak trup blady,
A mnie porywa wówczas wicher boży
Hen, w gwiazd miryady...

Kto nas sprzągł razem? Poco? W jakim celu?
Za czyje winy? Na pokutę czyją?
Każąc śnić życie jednemu wśród wielu
Co tylko żyją...?

Po co i naco tłuc mi się daremnie
W tej biednej piersi, ach, nazbyt człowieczej,
Tchnąc w nią niepokój tej co mieszka we mnie
Ogromnej rzeczy...?

Za co mi cierpieć, jak w godzinie męki
Którą śmie nazwać godziną t w o r z e n i a,
Plami dotknięciem swej kosmatej ręki
Mój świat marzenia...?

Za co mi patrzeć, jak pomiędzy gminem
W mój blask się stroi, mą boskością puszy,
Jak się bezecnym staje kabotynem
Swej własnej duszy...?

A znowu kiedy nań się wzajem patrzę,
Jak go szaleństwo mych skrzydeł urzekło,
By go przez wzruszeń sensacye najrzadsze
Gnać w zwątpień piekło;

Gdy widzę, w jaką kaźń się wprzęga srogą,
Aby się czepić by za kraj mej szaty,
Żal mi nędzarza, co płaci tak drogo

Bilet w zaświaty...

Jam winna temu, że w odmęcie grzechu
Melodyi szuka dla swej biednej pieśni,
Klnąc los swój, iż mej harmonii oddechu
Nie ucieleśni...

(Poeta wydaje dźwięk przeciągły a podejrzany).

Jam winna temu, że to co zamarło
W człowieczej piersi z odwiecznych zrozumień,
Próbuje wskrzesić, lejąc w spiekłe gardło
Żytniówki strumień...

(Poecie haniebnie się odbija).

Ja go w sromotne pędzę lupanary,
Rwąc się ku piękna wiecznego świątyni,
I patrzeć muszę, na domiar mej kary,
Co on tam czyni...

(Poeta oblizuje się przez sen).

I jedno tylko pragnienie tajemne,
I jedno tylko przyświeca mi hasło:
Rozżarzać tchem mym to płomię nikczemne,
By rychlej zgasło...

I czekam, marzeń nić snując leciuchną
I pytam z drżeniem co chwilę, ażaliż

Nie przyjdzie moment wreszcie, że to próchno
Zmiecie paraliż...?

Wówczas skrzydłami zatrzepocę, i nad
Ziemskie padoły zapieję radością,
Że już się skończył śmieszny konkubinat
Prochu z wiecznością!...

Poeta chrapie przeciągle i przewraca się na drugi bok, wypinając się ku publiczności gestem mimowoli i niewinnie prowokacyjnym.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

UWIEDZIONA.

DYALOG SCENICZNY.

OSOBY:

Ona, piękna, wykształcona i ozdobnie mówiąca.
On, naturalnej wielkości, wypchany, wszelako uzdolniony do wykonywania pewnej ilości automatycznych poruszeń.

(Siedzą obok siebie na kanapce buduaru).

Ona:

Och, nie, proszę się na mnie w ten sposób nie patrzeć...
Pan ma w oczach dziwnego coś — Och, ja się boję — —
Nie, nie, potem zbyt trudno mi w pamięci zatrzeć
Ten wyraz, jaki mają oczy pańskie... twoje...
Kiedy tak patrzysz, patrzysz, coś się budzi we mnie —
Nie zmysły — och, nie, na to warciśmy zbyt wiele —
Ale coś, coś, co schwycić silę się daremnie,
Coś jak ptak, co o klatkę tłucze się nieśmiele,
I chciałby hen, daleko, ulecieć w przestworze,
Do słońca, do jasności... Ach, co ja znów baję!
Pana to nudzi, prawda? nie przecz pan — mój Boże,
Ja jestem mniej naiwna niż się panu zdaje;
Wiem, że co dla mnie może stać się życiem nowem,
Mem odrodzeniem, wszystkiem, jest dla pana tylko

Epizodem, rozrywką, sportem salonowym,
W najlepszym razie wrażeń migotliwą chwilką...
Ale co mi tam: mniejsza! dość bogata jestem,
By, chociażby na marne, rzucić duszy kawał —
To ma g e s t! Pan uśmiecha się? Pan gardzi gestem?...
Pan jest mniej zajmujący, niż się pan wydawał — —
Ach, jakie to banalne ta ironia pańska!
Jakie to łatwe, tanie! jakie nowoczesne!
Lecz we mnie jakaś dusza gnieździ się pogańska,
Umiłowanie życia namiętne, bezkresne,
Co mi pozwala płynąć wśród waszych małostek,
I niesie mnie ku szczytom niby pieśń świetlana,
Że mi szarzyzna wasza nie sięga do kostek —
Co panu — ? pan posmutniał... czy dotknęłam pana?...
Nie, ja tak nie myślałam... pan przecież jest inny —
W tobie niema małego nic — pan mnie rozumie —
No, proszę mi darować ten wybryk niewinny — —
O, dać rękę, pogładzić, tak jak to pan umie...
Ja chcę wszystkiemu wierzyć — ja wszystkiemu wierzę —
Och, tak, przytul, przygarnij dzieciaka... twojego...
Tak, czujesz moje serce przy twojem?...
Och, zwierzę!!!

. . . . . .
Zdaje się, że pan wziął mnie za kogoś innego!?

Moja wina, wyznaję: zapomniałam o tem
Że, mimo wszystko, w panu tkwi zawsze — mężczyzna.
Pan mnie otrzeźwił. Dzięki serdeczne. Tym zwrotem
Oddał mi pan ogromną przysługę. Pan przyzna,

Że najlepiej, jeżeli zapomnim oboje
Żeśmy się kiedykolwiek znali. Żegnam pana.
Tak, żegnam.
....zostań...
...ktoś ty...?...Ja się ciebie boję...
Och, co się ze mną dzieje... czym ja obłąkana...?
Nie, nie, to nic, to przejdzie... o czemśmy mówili...?
O *„Xiędzu Fauście“*, prawda? cóż pan o tem sądzi?
Co do mnie, to czas spędzam przy książce najmilej,
Gdy mi wypadnie z ręki, a myśl błądzi, błądzi,
Ot, tak, samopas, nizko, niby mgła wieczorna,
Co snuje się w księżycu przez ściernie, ugory,
To jak dzwonek kapliczki wioskowej pokorna,
To znów żałosna, niby cmentarne upiory...

To dziwne, jak mi dobrze się rozmawia z panem...
Pan tak umie rozumnie słuchać. Mam wrażenie,
Że choćbym się wyrwała, ot, z czemś niesłychanem,
Z czemś potwornem, waryackiem, zawsze przebaczenie
Znalazłabym u pana...
Och, mów do mnie jeszcze...
Ukołysz mnie jak do snu... oczy mrużę senne,
Pragnę twych słów a w myśli usta twoje pieszczę
Memi ustami, w myśli całunki płomienne
Składam na nich....
...w tej chwili naga jestem cała,
Kołyszę się na fali jakichś grań anielich,
I otwieram, ach, tobie, kwiat mojego ciała,
Niby jakiś upojny, przenajczystszy kielich...
Ach, jakam bardzo twoja...

Ha, com ja wyrzekła!
Pan to zapomni, musi pan zapomnieć o tem...
I ja zapomnę, choćby wszystkie moce piekła
Ciągnęły mnie do ciebie... Co potem, co potem...?
Potem — ? och, prawda, potem... umrzeć można przecie!
Czyż to cena zbyt wielka za szaleństwa chwilę...?
Pan się zawahał — słusznie — pan widzisz w kobiecie
Objekt, z którym przepędzić czas można dość mile,
Lecz dla której nic więcej poświęcić nie warto.
Pan jest człowiek praktyczny. Tem lepiej dla pana:
Cóż, kiedy na istotę pan trafił upartą,
Co nie chce panu służyć za kubek szampana — —
Chyba, że potem strzaskasz na miazgę ten kubek!
No... zabijesz mnie, powiedz...? twój dzieciak tak prosi,
Patrz, sam do ciebie oto wyciąga swój dzióbek...
Będziemy tak szczęśliwi... ludziom się ogłosi
Żem sama się zabiła... uwierzą z pewnością:
Taka waryatka, pewnie, to wygląda na nią —
I tak odejdę cicha z mą wielką miłością,
I zostanę dla ciebie twą słoneczną panią — —
Tak mi jest dziwnie, niewiem co się dzieje ze mną,
Zdaje mi się jakgdybym już gdzieś w dal leciała,
Trzymaj mnie, trzymaj mocno, och, w oczach mi ciemno,
Dusza moja jak gdyby już odeszła z ciała —
Nic nie wiem co się dzieje... gdzie jestem w tej chwili...
Czy ja cię kiedy znałam... czym istniała w tobie...
Czyśmy gdzieś, na planecie jakiejś, wspólnie żyli — —
Czekaj, czekaj, ja muszę... och, przy...po...mnieć sobie...
. . . . . .

. . . . . .

Pan jest człowiek nikczemny.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

KAPRYS.

Melodya: *Delmet, Les petits pavés*.
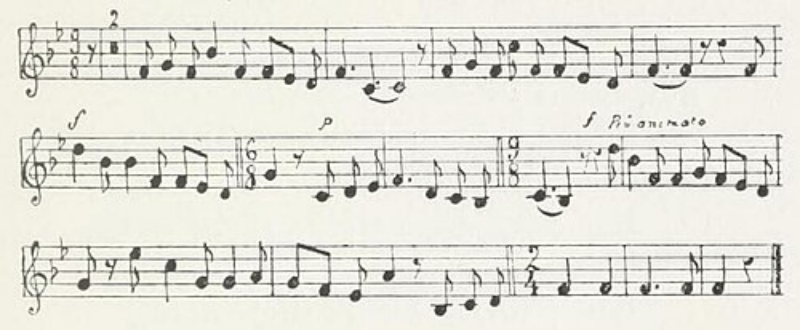
Ach, niech się święci ta godzina,
W której twój kaprys począł wić
Sympatyi naszej złotą nić,
Po stokroć moja ty jedyna...
O chwilo, słodka chwilo, stój,
O chwilo, słodka chwilo, stój,
Błogosławiony kaprys twój....

Jeżeli potrwa dwa tygodnie,
Cóż pozostanie po nim, cóż?
Prócz zamyślenia dwojga dusz,
Co sen miniony śnią łagodnie....
O wspomnień, słodkich wspomnień rój,
O wspomnień, słodkich wspomnień rój —
Błogosławiony kaprys twój...

Jeżeli potrwa trzy miesiące,
Ach, to już jest drażliwsza rzecz —
Rozłąki ból gnającej precz,
I łzy okrutne, łzy piekące....
Nim z ócz mych tryśnie gorzki zdrój,
Nim z ócz mych tryśnie gorzki zdrój,
Błogosławiony kaprys twój....

Jeżeli potrwa, och, pół roku,
Nawet mi myśleć o tem strach —
W twe oczy z drżeniem patrzę, ach,
Mego szukając w nich wyroku...
O, snuj się, nitko złota, snuj,
O, chwilo, słodka chwilo, stój,
Błogosławiony kaprys twój....

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Boy-Żeleński.*

PIOSENKA MEGALOMANA.

DWUGŁOS FILOZOFICZNY.

Melodya: *Delmet, Exil d’amour.*
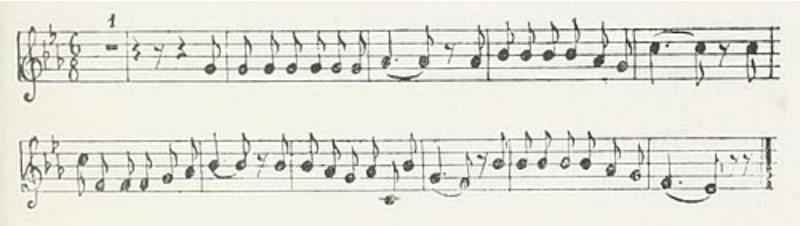
Rozpoczyna głos męzki z właściwą temu gatunkowi przesadą:

Wpleceni w uścisk miłosny
I z twarzą złożoną na twarz,
Prześnijmy, o luba, wiek nasz,
Przetrwajmy od wiosny do wiosny!
Wpleceni w uścisk miłosny....

Niech płyną koło nas godziny,
Niech płyną w przestrzenny gdzieś mrok —
Cóż znaczy godzina czy rok
W przesłodkich objęciach jedynej!
Niech płyną koło nas godziny...

Sekundą nam będzie pieszczota,
Kwandransem oddania szał —

Tutaj tenor, mimo całej bezczelności, zawahał się na chwilę; natychmiast odbiera od niego melodyę sopran, rozlewając skarby najczystszego liryzmu:

Ach, byle chronometr ten trwał
Tak długo, jak serca ochota....

Razem: Sekundą dla nas pieszczota!

Sopran prowadzi dalej melodyę z rosnącym zapałem i siłą głębokiego przekonania:

Wpleceni w uścisk miłosny,
I z twarzą złożoną na twarz,
Prześnijmy, o luby, wiek nasz
Przetrwajmy od wiosny do wiosny!

Razem: Wpleceni w uścisk miłosny...

Akompanjator, ratując sytuacyę, szaleje po swoim klawicymbale w niesłychanych arpedżjach i glissandach.

. . . . . .
. . . . . .
Sopran, nieco zamglony:
Ach, byle chronometr ten trwał....
. . . . . .

Razem: Sekundą nam będzie pieszczota...

(da capo ad libitum).

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

MADRYGAŁ Z POD CIEMNEJ GWIAZDY.

Chciałbym przy pani .....uchnie
Być takim skromnym amantem,
Co go się puszcza przez kuchnię
Zanim się puści go kantem.

Ot, cichem pragnieniem mojem,
(Nie dla pieniężnych korzyści)
To być w jej domku *lift-boy*'em
Lub drabem co schody czyści.

Sprzątałbym z wielkim hałasem,
Wstawał ze wszystkich najraniej,
By się w nagrodę choć czasem
Przytulić do jaśnie pani.

Obmywszy z kurzów me ciało,
Jak można najidealniej,
Pukałbym potem nieśmiało
Do jej bieluchnej sypialni.

Z emocyi leciutko dyszę,
(Zwyczajnie osoba w wieku)
Aż szept najdroższy usłyszę:
„No, właźcież prędzej, człowieku!“

Z szacunku słowa nie gadam,
Liberyę szybko zdejmuję,
Kładę się w łóżko i: *„Madame est servie“* głośno melduję....

Powiedz, mój stróżu aniele,
Czy to zuchwalstwem zbyt dużem
Marzyć, choć czasem, w niedzielę,
Szczęście anioła ze stróżem?...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

WOLNY PRZEKŁAD Z ASNYKA.

„Najpiękniejszych moich piosnek...“

Kochanko moja słodka,
Naucz mnie takich piosneczek,
Żeby ich każda zwrotka
Miała smak twoich usteczek;

Żeby ich każde słowo
W szept się mieniło najsłodszy,
Wciąż powtarzając na nowo
To, co bliziutką rozmową
Dwa serca bredzą trzypotrzy...

Potem wymyślę temat,
Sentymentalny ogromnie,
I spiszę cały poemat
O tobie, miła, i o mnie.

Wszystko tam razem się znajdzie,
Jak w głowie samo się kleci,
Niby w niańczynej bajdzie
Dla troszkę większych już dzieci.

Będzie o Lali-królewnie,
Jak miała swego pajaca,

Co płakał, płakał tak rzewnie,
A ona mówiła: caca;

Będzie i baba-Jaga,
Wiedźma złośliwa krzynkę,
Co, jak ją rozdziać do naga
Zmienia się w małą dziewczynkę;

Będą i włoski złote,
Czesane złotym grzebieniem,
Co najmocniejszą pieszczotę
Sączą cichutkim strumieniem;

Będzie i siódma rzeka,
I siódma góra będzie,
I myśli tęskne człowieka
Pół świnki a pół łabędzie....

I wiele jeszcze innych
Bajeczek nowych i dawnych,
Tak wiernych że aż dziecinnych,
Tak czułych że aż zabawnych,

Nizać chcę ziarko po ziarku,
Aż wzrośnie śliczna książeczka,
Którą nam dadzą w podarku
Twe drogie, słodkie usteczka....

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Tadeusz Boy-Żeleński.*

DEDYKACYA.

(Pisana po ukończeniu wydawnictwa Moliera w r. 1912 w sierpniu, miesiącu ukazania się niezapomnianych felietonów F. Hösicka p. t. „Życie nocne w Wiedniu“).

Skończyłem już robótki
Te com miał w życiu grubsze,
I mogę, czas choć krótki,
Spocząć na własnym kuprze.

Miesięcy pięknych sporo
Z jeniuszem żyłem górnie,
A teraz znów z pokorą
Powracam między durnie.

Znów, ziemio, twój-em cały,
Znówem jest dawnym Faustem,
Gotowym twe specyały
Łykać pełniutkim haustem.

Dajcie mi życia czarę!
W odmiany mej przededniu,
Choć felietonów z parę
O „Życiu nocnem w Wiedniu“.

Ach, nuć mi, nuć, słowiku,
Pieśń narkotyczną bytu,
Ty, co mi wnet, Hösicku,
Urośniesz w ogrom mytu!

Ach nuć mi, Ferdynandzie,
Twe *süssen Himmelslieder,*
Aż oko łzą mi zańdzie —
Die Erde hat mich wieder!

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

WIERSZYK, KTÓRY SAM AUTOR UWAŻA ZA NIEBARDZO MĄDRY.

Niech mi kto wreszcie powi,
— Djabłów kroć sto tysięcy! —
Czemu się tak nerwowi
Stajemy coraz więcej?

Długom to zgłębiał, przecie
Doszedłem kwintessencyi:
W tem zło, że na tym świecie
Nic niema konsekwencyi.

Rzecz jedna sama w sobie
Nie ciągle jest jednaka,
Lecz bywa w różnej dobie
To taka to owaka.

Bywają dni, że człowiek
Strasznie jest siebie pewny,
Rad, od otwarcia powiek,
Jak prosię w deszcz ulewny.

Przed lustrem wówczas staje
I sam jest z siebie dumny,
I sam się sobie zdaje
Przystojny i rozumny.

Na drugi dzień przeciwnie:
Ta sama ot, osoba,
A wszystko się w niej dziwnie
Znów człeku nie podoba.

Pysk mu się widzi krzywy,
Wiersze haniebnie głupie,
I bardzo jest zgryźliwy
I sam ma siebie w pogardzie.

Nie macie wprost pojęcia,
Jak to jest źle na nerwy
Bez chwili odpoczęcia
Tak huśtać się bez przerwy.

Ba, gdyby się to dało,
(To byłoby najprościej)
Wprowadzić jakąś stałą
Podstawę wszechwartości!

Tak głowę dręczę biedną,
Gdy myśl się jakaś czepi:
Ach, czyż to tylko jedno
Mogłoby tu być lepiej...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

KŁOSKI.

UTWÓR DYDAKTYCZNY.

Nie wiem czy to lat mych skutek,
Czy mi co innego wadzi,
Dość, że coraz gęściej smutek
Na mem czole się gromadzi.

Taki smutek jakiś mętny,
Potocznie mówiąc „kosmiczny“,
Jakiś dziwnie beznamiętny,
Jakiś ultra-platoniczny....

Myśli coraz wstecz mi biegą,
Ogarniając życia całość,
Tak się plączą wkoło niego
W jakąś mglistą, głupią żałość....

Coraz częściej roję o niem,
Dumam nad jego „urodą“,
Gdybym nie był starym koniem
Myślałbym, że umrę młodo...

Jakoś mi się zaprószyły
Świadomości mej organy,
I na świat ten piękny, miły,
Patrzę wpół jak zabłąkany;

Po ziemi patrzę, po niebie,
Po zielonych łąk kobiercu,
I coś szepcę sam do siebie,
I coś mnie tak pika w sercu....

Kiedy ulubionej mojej
Spazmatycznie ściskam żebra,
Naraz w głowie mi się troi
Co ma znaczyć ta algebra....?

Gdzie ma sens swój to zrównanie
W którem znaczków gramy rolę,
My, w prabytu oceanie
Biedne oka na rosole....?

Tak raz szedłem sobie miedzą,
Śród łanów pszenicy źrałej,
Której kłosy nic nie wiedzą
Co to ludzkie komunały.

Jak im Bóg przykazał, rosną,
Ot, bez próżnego hałasu,
Kiełkują skwapliwie z wiosną,
Aby wydać plon zawczasu.

Nic nie dbając co je czeka,
Dojrzewają wnet, a potem
W łakome kiszki człowieka

Pchają się chlebusiem złotym.

Wchodzą w nie, wychodzą, ano
Znów wracają z przyszłym rokiem,
Znów się złocą w cudne rano
Pod słoneczka czujnem okiem.

I żal chwycił mnie ogromny,
I w sercu stałem się cichy,
I uczułem się tak skromny
Jak ten ziemny kłosek lichy;

I, w dumy mojej pogrzebie,
Nazbyt późno zrozumiałem,
Że żyć trzeba, ot, przed siebie,
Nie szukając dziur na całem;

Że w bytu poczuciu zdrowem,
Każdy twór swe *locum* znajdzie:
Choć raz tem jest a raz owem
W końcu gdzie potrzeba zajdzie;

Więc notuję me wrażenia,
Może gdzieś, za lat choć trzysta,
Z mojego tu doświadczenia
Kto inny bodaj skorzysta....

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

Z „ELEGIJ“ PAWŁA VERLAINE’A.

I.

W moim wieku, wiem, trzeba rzucić myśli płoche,
Statkować, sztuką bawić się, przygłupią trochę,
Raczej godnym poetą, czystym stróżem domu
Zostać, małżonkiem, niźli tarzać się bez sromu
W bagnie miłości nizkich, któremi świat gardzi.

Wiem o tem, a pomimo to kuszą mnie bardziej
Kobiety, i ich oczy, i wszystko, od owych
Nóżek maciupych aż do włosów hebanowych,
Bo kobiety to jesteś ty, ty, coś się stała
Wszystkiem dla mnie, dla duszy, dla głodnego ciała,
Ciała, co się ku tobie wydziera z ochoty
Świętej, drżące jak płomień, jak kwiat mej istoty,
A dusza z twoją stapia się, w jedno związana,
A myśl żąda twej myśli.

Posłuchaj, kochana:
Stary jestem, lub blizko tego, a zaś ciebie
Bóg młodszą o lat dziesięć stworzył, byś w potrzebie
Mogła być towarzyszką stosowną dla mojej
Nędzy, co czasem w baśnie zaklęte się stroi.
— Czemu wytrzeszczasz na mnie twe oczęta bure,
Co tylu (ze mną włącznie) wpiły się za skórę!

Kasztelanko ty, której nie jestem, zaiste,
Paziem, lecz giermkiem starym, co swoje nieczyste
Pragnienia zdradzić czasem śmie w geście pokornym,
Dzięki twej wielkiej łasce; lutnistą nadwornym,
Co się przez furtkę tajną wślizguje jak złodziej;
Pasterzem twoich bujnych łąk, który uchodzi
Za znachora i w ciebie chytre swoje ślepia,
Gusła mamrocąc ciemne, uporczywie wlepia;
Lub mnichem spowiednikiem, świętym dla swej szaty
Surowej, białej z czarnem, a która, zakaty,
Hultajstwa i figielków kryje całe moce;
Strażnikiem, co u blanków wieży czuwa w noce —
Kasztelanko ty moich księżycowych włości,
Słuchaj mnie, droga: Kocham cię, ty, ma miłości!

— Powiedz twym włosom, niechaj lśnią mi się mniej czarno,
Kirem nad ust purpurą ścieląc się ofiarną...

Niech sobie ludzie krzyczą co chcą: „To pocieszne,
Idyotyczne! Dziad taki! Dokąd to nas grzeszne
Chucie wiodą!“ i dalej w podobnym sposobie,
Ba, niechaj świat tam o mnie gada co chce sobie,
Kocham cię, ja, dziad stary, ciebie, też nie dziecko,
Miłością, co, jak wiosna, wykwitła zdradziecko,
Nagle, i jednem tchnieniem objęła nas cudnie,
Z mym zmierzchem łącząc, droga, twoich lat południe.

Och, to południe! ileż więcej budzi chętki
Od młodzieńczej kibici sprężystej i giętkiej,
Od lat dwudziestu, smacznych, lecz w jurnej swywoli
Zbyt rączych, by me zmysły upoić dowoli!
Ty, prosta i z natury rzeczy ochłodzona,
(Co nie wadzi, iż czasem z wezbranego łona
Szczerej żądzy wykipi war po sam ostatek)
Ty umiesz wdzięków twoich dźwigać boski statek:
Jako broń wyćwiczony żołnierz nosi godnie,
Tak ty powabów swoich zażywasz swobodnie.

A twój rozsądek, humor i wesołość przytem!
Ach, jak trzeźwa i jasna i najmniejszym zgrzytem
Niezmącona! Te rady mądre, zaprawione
Niby gniewem, co w śmiechu się kończy jak one!

Jakiż prospekt twe wszystkie zalety rozpowie!
Te słówka strzelające paradnie w rozmowie,
Raczej naiwne niźli szelmoskie, a wszakże
Swoją drogą szelmoskie, a przytem ach, jakże
Łechcące, dzięki buźce dziecinnej i dzięki
Wardze górnej, co stręczy zalotnie swe wdzięki,
Co dąsa się tak śmisznie popod noskiem drwiącym,
Noskiem zadartym, lekkim, wszystkiem się gorszącym,
Marszczącym się zabawnie, czyli go podrażni
Zapach szpetny czy słówko plugawe wyraźniej.

To znów (ba, i to bywa!) jakiś kaprys dziki
Wpadnie do główki — lubię nawet te wybryki,

Choć od nich cierpię — i nuż, nie z przypadku wcale,
Lecz z rozmysłu, zaczynasz, kawał po kawale,
Rwać mi serce, jak oracz co bronuje rolę.

— O niechaj twoje ręce, ach, ileż to wolę,
Kołyszą mnie, nie szarpią mej biednej miłości!

Lecz w głębi, w samej głębi, nawet i w twej złości,
Tak cię kocham, że nowe w niej czerpię rozkosze!
Smaga mi krew, co płynie leniwo potrosze,
Z chorób, zgryzot; otrzeźwia mnie, biednego drania,
Szaleńca bez rozumu, i, mocą działania
Prostej logiki, żale, a raczej wyrzuty
Budzi we mnie i sprawia, że staję wyzuty
Z wszelkiej pychy i widzę własne moje winy,
Co były już przyczyną (ach, mimo tej miny
Mojej tak dobrodusznej) nie raz, nie dwa razy,
Krzywdy ludzkiej, niewinnej bliźniego obrazy;
Więc, mimo iż łez z oczu toczysz mi bez miary,
Wychwalam po wiek wieków twe lube przywary.

Tak: wady twoje, bowiem masz ich sporo może,
Choć raczysz cierpieć bym je uwielbiał w pokorze,
Niczem są. Miłaś mi jest. Co mówię, tyś bogiem
Moim. Tak, nie boginką: takiem ciepłem błogiem,
Dobrotliwem, napełniasz mnie; tyś moim panem,
Nie kochanką; jam woli twej kornie oddanym
Rabem wśród wszystkich szaleństw. Tyś mem całem
życiem;

Twe przywary są moich jedynie odbiciem,
Ach, jak drogie, jak miłe. Duszo moja biedna!
Kapryśna ty, jak umiesz być tylko ty jedna,
Złośnica, nie zazdrosna (czy to nie przekora?)
Dokuczliwa niekiedy (i na śmiech jest pora)
To zbyt wesoła (trzebaż skosztować i męki)
A wreszcie... Co tam, wszystko ty moje... i — dzięki!

II.

Pytam się jeszcze siebie — o moja ty głowo! —
Gdzie, kiedy — bodaj w jakąś noc karnawałową —
Zaczęła się znajomość, co mnie uczyniła
Pijanym niewolnikiem twoim. Ty też, miła,
Nie pamiętasz; niech się więc w Księdze wspomnień zmaże
Ów dzień nad dniami; lub nie: toć się nie pokaże
Ta hańba, abym nie miał zrobić co w mej mocy,
By wskrzesić coś z obrazu tej czarownej nocy.
Tak, zaprawdę czarownej: ot, knajpka narożna,
Jeden z owych wieczorów parnych, gdy, rzec można,
Wszystko na zgubę człeka spika się w zawody:
Gazu płomyk syczący nad głową, moszcz młody...
Zabawa szła szeroko. Z sąsiedniej izdebki
Wnikało arystonu jęczenie i krzepki
Szurgot nóg, wpół-rytmicznie bębniących w oddali;
Gdy w tem drzwi się rozwarły od tanecznej sali,
Wyrzucając tłum cały — w nim ciebie — w mą stronę,
I głosem tym co sprawia iż milknę i płonę

Gdy rozkaz jaki rzuci twa gębusia wartka,
Krzyknęłaś: „Ależ upał! Garson, tutaj ćwiartka“!
Zwróciłem się ku tobie, i wraz cię spostrzegłem
Różową, podnieconą, i w duszy podbiegłem
Wnet ku tobie; tak twoja twarz, osoba cała,
Bujność, zdrowie, przeczuty kształt twojego ciała
Pod żerseyem nabitym dobrze, i sukienka
Pełna ciebie, rękawów też tkanina cienka
Jeszcze lepiej nabita, o rozkoszy! bowiem
Cóż nad ramię kobiece napęczniałe zdrowiem!
Wzięły mnie w jednej chwili, jak zwierzę co zgrzyta
Węsząc łup świeży. Oto już me ucho chwyta,
W kilku słowach co z ust twych wypadły jak z procy,
Akcent, jakim we Francyi mówią na północy,
(A znam go dobrze, bowiem żyłem tam dość długo)
I już wszczynam pogwarkę, prosząc cię byś drugą
Od krajana przyjęła ćwiartkę. Nuż w gawędy
Wdajemy się przy szklance, tędy i owędy,
O tem, owem, a wszystko skropione dostatnio
Winkiem miodem, naiwnie ciągnącem nas w matnią.
Reszta mi jakoś dziwnie z pamięci wypadła,
Coś, coś może majaczy się... Lecz ty, przybladła
Nazajutrz, dość znużona (ja, ach, jak znużony!),
Czy pomnisz może czemu, mów, po nocy onej,
Przy rannej czekoladzie, cośmy się poznali
Wczoraj ledwie, jużeśmy czule się t y k a l i ?
Banalny dość początek, trudno rzec inaczej,
Miłości tej, ostatniej zaiste, co znaczy
Jakby znak krzyża na mem sercu starem, w męce

Wiecznej pomiędzy dobrem a złem, wciąż w udręce
Pomiędzy nienawiścią a miłością: oto
Port wreszcie, port burzliwy, lecz w który z ochotą
Na resztę życia, na śmierć zawinąć gotowo.
Czyśmy nie dosyć, powiedz, ty można królowo,
Gwiazdo morza, ty zawsze pogodna bogini,
Czyśmy nie dość błądzili w odmętach pustyni
Wodnej, wśród raf, burz strasznych lub straszliwszej ciszy?
Niedość nam smutków, piekła, gdy serc dwoje dyszy
Nabrzmiałych nienawiścią; niedość tej obroży
Wciąż szarpanej daremnie? ach, kłótnie te, gorzej,
Te zdrady, gorzej jeszcze; aż, na sam ostatek,
Pokój, nieprawdaż? pokój: coś niby opłatek
Dzielony wspólnie, pokój na dobre, wytchnienie?
Ach, to byłby cel, prawda? to życia marzenie
Więcej niźli małżeńskie, niemal Chrystusowe...

O, licha ty szynkownio, skąd na moją głowę
Spłynęło tyle dobra...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autora: [Paul Verlaine](#) i tłumacza: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

Z TRYUMFALNYCH DNI Ś. P. „POLSKIEGO KABARETU“.

Niedawne to czasy, kiedy podniosła idea „kabaretu polskiego“ przeciągała w tryumfalnym pochodzie przez miasta, miasteczka, niemal przez ciche wioski. Nieliczne, zamknięte wieczory krakowskiej „Jamy Michalikowej“, stały się mimowoli początkowem ogniskiem istnej epidemii. Od „kabaretów“ arystokratycznych w najwykwintniejszych salonach, aż do „kabaretu artystycznego“ w stowarzyszeniu robotniczem „Spójnia“ w Podgórzu, „kabaretowało“ wszystko. Rozpleniły się po naszej ziemi jak grzyby po deszczu przeróżne, mniej lub więcej wesołe Jamy, Budy, Jaskinie, Ule, Pasieki, Obory, etc. Niektóre z tych przybytków rozrzuconych po rozmaitych naszych stolicach miałem sposobność poznać. Muszę się pochwalić, że przyjmowano mnie wszędzie bardzo życzliwie i godnie, przy dźwiękach tuszów i „potrójnych kabaretowych“, z kwiatkami i przemówieniami, w których nadawano mi godność niemal ojca ojczyzny, co (przyznaję się do tej słabości) sprawiało mi wielką przyjemność. Przez wdzięczność pilnie wchłaniałem w siebie to, co widziałem i słyszałem, i za powrotem do domu utrwalałem sobie na piśmie doznane wrażenia. Ponieważ z natury słabo jestem obdarzony pamięcią, nieraz, w notatkach moich, zdarzało mi się luki w rekonstrukcyi tekstu wypełniać moim własnym, przyczem

starałem się jednak o ścisłe zachowanie charakteru utworów. Pozwolę sobie tutaj, w bardzo zwięzłych ramach, podzielić się memi spostrzeżeniami.

Jak wiadomo, głównym filarem takiego przybytku, poświęconego chronicznej wesołości jest t. zw. *conférencier*, lub, jak chcą inni, *conferencieur*. Nazwa ta nie ma swego odpowiednika w języku polskim — chybaby ją zastąpić (bardzo niedoskonale) rodzimem słowem *pyskacz*. Zadania *conférencier'a* są bardzo wielostronne. Jemu przypada obowiązek oznajmiania w lekkich a dowcipnych słowach zjawiających się na estradzie wykonawców i utworów; przypominania co jakiś czas p. t. publiczności, że jest bydłem, zaledwie zasługującem na dopuszczenie do tego przybytku, którego mysteryów nie jest w stanie ogarnąć swoim tępym umysłem, etc., etc. Zwykle *conférencier* pełni równocześnie obowiązki sekretarza instytucyi. Tak np. znałem jednę z tych „wesołych jam", w której młody i utalentowany poeta, a zarazem sprężysty administrator ze znakomitą sprawnością łączył obie te funkcye. Skoro upewnił się, że stoliki stałych i wpływowych gości umieszczone są w dobrem miejscu, bez przeciągów, skoro roztelefonował do „wzmiankarzy" potężnych miejscowych Kurjerków, że zatrzymano dla nich najlepsze miejsca, i że czeka się z rozpoczęciem spektaklu na przybycie tych potentatów opinii, skoro rozdzielił parę energicznych napomnień służbie co do szybkiej i gorliwej usługi, wówczas przywdziewał symbol „bohêm'y" aksamitną kurtkę, układał włosy w nieład, wsuwał przed lustrem ręce w kieszenie i pojawiał się na estradzie,

otwierając widowisko w tych mniejwięcej lub tympodobnych słowach:

Przyszliście tutaj poco? czy wy wiecie?
Ha, nie, zaiste. A więc ja wam powiem.
Przyszliście poto, aby, przy kotlecie,
Urągać nam tu swem zwierzęcem zdrowiem,
Pełną kieszenią i wypchanym brzuchem,
Co lśni plugawo pod złotym łańcuchem.

Przyszliście do nas tutaj w odwiedziny,
Wy, którym betów waszych już za mało,
Tak jak się idzie do płatnej dziewczyny,
Co wam wydaje na łup swoje ciało,
I zbliża do ust, niby winne grono,
Pierś, niegdyś świeżą, dziś, ach, tak zmęczoną...

Przyszliście, wiecznie niesyci burżuje,
Chłeptać, wraz z piwem, ciepłą krew artysty,
Rzygnąć w głąb serca co cierpi i czuje,
Za grosz sprzedając wam swój miąższ soczysty,
Marzeń swych tkankę targając na strzępy,
Poto, ażeby śmiech wasz zbudzić tępy.

Witaj, motłochu! siądźmy więc pospołu:
Niech ducha ziści się krwawa gehenna;
Lecz wiedz, że każdy okruch tego stołu,
To jako perła przeczysta, bezcenna,

Którą my, w męki ofiarnej godzinie,
Wbrew słowom Pisma, rzucamy przed świnie.

Trzeba przyznać, że wrażenie tej lub tympodobnej apostrofy bywało zwykle jak najlepsze. *Conférencier* nagrodzony hucznym oklaskiem, rzuciwszy jeszcze raz okiem czy obsługa „motłochu“ idzie należytem tempem, opuszczał estradę, aby za chwilę na nią powrócić i zapowiedzieć pierwszy numer programu. Owym pierwszym numerem jest z zasady śpiewana inwokacya do wesołości i szału. Zarazem jednak logika programu wymaga, aby wszystkie „atrakcye“ i „clou“ pojawiały się dopiero w dalszej części spektaklu: pierwsze numery, rzucane na stracenie w napełniającą się stopniowo salę, powierza się zazwyczaj siłom początkującym i najsłabiej ukwalifikowanym. Dlatego też, na początek, pojawia się nieodmiennie młodzieniaszek o niepewnem spojrzeniu, wybladły z tremy, wybiera starannie miejsce w pobliżu budki suflera, w które wrasta nieruchomo, i drżącym a wątłym barytonowym głosikiem rozpoczyna swoją inwokacyę, w tym wypadku z tekstem oryginalnie napisanym pod ulubioną melodyę „Ach, ta trójka...“ Przez cały czas tej hulaszczej pieśni największą jego troskę stanowi kwestya, co począć z własnemi rękami, których ilość wydaje mu się w tej chwili stanowczo za duża. Tekst pieśni brzmi mniejwięcej tak:

Niech wesoło pieśń brzmi w koło,
Niechaj dźwięczy śmiech i gwar,

Tyle życia, co użycia,
Niech rozkoszy kipi żar.

Niech rozgłośnie a radośnie
Smutki płoszy jurny żart,
Przy tym znaku stań Polaku,
Dobry humor tynfa wart.

Niech się w pieśni ucieleśni
Namiętności wrząca chuć,
Dziewko hoża, wola Boża,
Więc tu do nas, do nas pódź.

Więc wesoło rozchmurz czoło,
Ciesz się ludu, śmiej i baw,
Upojenie, zapomnienie,
Niesiem wszystkich ziemskich spraw.

Po tym numerze, publiczność, mimo iż najżyczliwiej usposobiona przez energiczną wstępną apostrofę, zachowała grobowe milczenie. Parę zdawkowych oklasków — to i wszystko; szału i upojenia ani śladu. Żałosny debiutant, złożywszy studencki ukłon, znikł za kulisami, natomiast w jego miejsce zjawia się *conférencier* z objawami widocznego zdenerwowania na twarzy i odzywa się grzmiącym głosem: „Widzę, że nasza skromna zabawa artystów nie przypadła jaśnie państwu do smaku! Komu się nie podoba, może się zabierać. Do tinglów! do bajzli! do

zamtuzów! Tam wasze miejsce! Z Panem Bogiem!“ Zawstydzeni słuchacze zwiesili z pokorą głowy; nikt nie ruszył się z miejsca, prócz jakiegoś staruszka, który wysunął się po cichu. Tyran potoczył groźnym wzrokiem po sali i rzekł: „A teraz, dla kolegi Weselskiego, jako wykonawcy, jak również dla autora piosenki, potrójny kabaretowy“. Sala zagrzmiała „potrójnym kabaretowym“. *Conférencier* złagodził nieco surowe oblicze i rzekł udobruchany: „A teraz, kolega Weselski odśpiewa wam jeszcze dwie piosenki: „Walc szału“ i „Hulaj dusza“. I tak się też stało.

Po numerze kolegi Weselskiego posypały się dalsze. Były tam i bajeczki, i „morały“ i żydowskie anegdoty i nieodzowny „dziadek“ i kilka „jedynaczek“ z obiecującemi pseudonimami jak „milucha“, „przylipeczka“ i różne różności. Pod koniec pierwszej części programu pojawiły się i „gwiazdy“. Jedną z nich był liryczny tenor o miłym, dźwięcznym głosie i dużej dozie sentymentu i smaku; był to ulubieniec publiczności. Tego wieczora, po raz setny od trzech miesięcy, zniewolony okrzykami i żądaniami publiczności, odśpiewał swą najpopularniejszą piosenkę, napisaną do znanej melodyi Paul Delmet’a *Petit chagrin*. Piosenka miała tytuł „Biały kuperek“, a słowa tytułu powtarzały się po każdej strofce utworu. Były tam dzieje jakiejś miłostki studenckiej, dzieje, jak autor zapewniał, nigdy niezapomniane, a streszczające się w ostatniej strofce:

Choć odtąd więcej niźli sto
Przemknęło przez mansardę mą
Hrabin i ścierek —
Cóż, gdy wśród tylu drogich głów,
W pamięci mojej żyje ów
Biały kuperek...

Po „gwieździe“ przyszło „*clou*“. Jak oznajmił *conférencier*: „nasza znakomita koleżanka, Eleonora Duse polskiego kabaretu, wykona berżerety starofrancuskie w stylowym kostyumie.“ Tekst tej „berżerety“, który przytaczam poniżej, widocznie napisany był pierwotnie do znanej melodyi „Małgorzatko, kocham cię na rzadko“; jednakże utalentowany muzyk, pełniący funkcye akompaniatora w tym przybytku, sharmonizował akompaniament *à la* Wekerlin tak zręcznie, że istotnie niełatwo się było połapać. Dla zupełnego stylu doczepiła „Duse polskiego kabaretu“ po każdej strofce omdlewający refren „Tandaradei“, zaczerpnięty bodaj czy nie z Waltera von der Vogelweide.

Oto tekst tej „berżerety“ p. t. „Wietrzyk“.

Nuta: *Margarete, Mädchen ohne gleichen.*

Kasieńka gdy usnęła, przyszedł swawolny wietrzyk,
Z koszulką igrał jej ten psotnik śmiało zbyt;
Odsłonił ponad lewem udem figlarny pieprzyk:
Kasieńko zbudź się zbudź, bo potem będzie wstyd.

Oj wietrzyku, mały ty psotniku,
Oj, hultaju, chciałbyś ty do raju,
Mam ja tam, ach, mam ja słodką rzecz,
Lecz nie dla ciebie chowam ją, więc idź wietrzyku precz.
Tandaradai, tandaradai.

Przechodził Filon łąką pasąc owieczki białe,
Wtem patrzy: oczom jego błysnął słodki cud.
Skrada się coraz bliżej, spojrzenia topiąc śmiałe,
Lecz ach, koszulka broni wstępu wyżej ud.

Ach, wietrzyku, mały ty psotniku,
Ach, hultaju, prowadź mnie do raju,
Wiem ja tam, ach wiem ja słodką rzecz,
Odsłoń drogę mi wietrzyku, a potem idź już precz.
Tandaradai, tandaradai.

Na tem stylowem *clou* zakończyła się część pierwsza programu. Oklaski, naddatki, „potrójne kabaretowe“, wreszcie półgodzinna pauza. Miło było rozejrzyć się po sali. Stoliki gęsto zajęte przez „premierową“ elitę, piękne panie wygorsowane, wybrylantowane, z podnieceniem w oczach, wchłaniające z rozkoszą atmosferę tego przybytku, mającego w sobie coś z zakazanego owocu; panowie we frakach lub smokingach, wytworni, lecz z owym nieuchwytnym odcieniem poufnej nonszalancyi z najlepszym smakiem dostrojonej do ramy tego wesołego lokalu, flaszki szampańskie wdzięcznie kąpiące w kubełkach swoje ponętne kształty, słowem, żyć nie

umierać! Naraz, światła przygasły, w sali zapanowała niemal zupełna ciemność. Ze strony, w której znajdowała się scenka, rozległy się posępne dźwięki pogrzebowego dzwonu, do którego przyłączyła się niebawem przenikliwa sygnaturka za topielców. Wyznaję, że dreszcz mię przeszedł. „Teraz najciekawsze: część *macabre*“ objaśniła mnie uprzejmie sąsiadka. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, iż w każdym szanującym się „polskim kabarecie“ musi znajdować się w programie pewna ilość numerów „odsłaniających rany społeczne“. Wreszcie dzwony ucichły, kurtyna rozsunęła się wśród ciszy przepojonej elektrycznością oczekiwania i na scenie oświetlonej promykiem zimnego seledynowego światła, ukazał się *conférencier*. Był poważny i skupiony; wytrzymawszy długą artystyczną pauzę, tak przemówił:

Wy, śliczne panie, których pełne biusty
Lśnią od brylantów i drogich kamieni,
Których usteczka śmiech rozchyla pusty,
A oko blaskiem lubieżnym się mieni,
Czyli wy wiecie, że pod wami, w dole,
Są ludzkie troski, cierpienia i bole?

Wiecież wy o tem, że macie tam braci,
Którym głód skręca wychudłe jelita?
Co drżą od zimna wprost nie mając — gaci?

Tu mowca zawiesił głos, pewny swego efektu. Jakoż w istocie lekki szmerek przebiegł po sali niby dreszcz po

ciele. „To silne“ rzekła półgłosem moja sąsiadka. Poeta, mięcej modulując głos, ciągnął dalej:

. . . . . .

Że siostra wasza, tak jak wy kobieta,
Aby wyżywić swoje drobne dziatki,
Porać się musi rzemiosłem gamratki?!

Ten świat my chcemy wam przywieść na oczy,
Ten „padół płaczu“, jako wieszcz powiedział,
A jeśli łza się wam z źrenic potoczy,
Płynąc jak rynną w piersi krągłych przedział,
Niech nie wstrzymuje jej wasza powieka:
Ta łza wam godność nadaje człowieka!

Zagrzmiała burza oklasków, ale na krótko, bowiem *conférencier* huknął gromkim głosem: „Milczeć!“ a równocześnie ozwał się znów dźwięk dzwonu pogrzebowego i sygnaturka za topielców. W końcu uciszyło się, kurtyna się rozsunęła i rozpoczął się pierwszy numer odsłaniający ranę społeczną. Było to jedno z licznych naśladownictw piosenki Szyllera (Leona) „Wiatr za szybami śmieje się“. Tym razem śpiewała ją zgrzybiała babcia, która za młodu była „kurtyzaną“, a obecnie, przesuwając nieco zakres pracy w kierunku odpowiedniejszym swemu wiekowi, pełni obowiązki dozorczyni publicznych miejsc ustępowych. Pomysłowa reżyserya wyposażyła ten numer we wspaniałą oprawę. Skulona babcia siedziała w rogu sceny koło swego zakładu,

opodal świeciła uliczna latarnia, z góry sypał gęstemi płatkami śnieg. Za kulisami świstał przeciągle wiatr, wybuchając po każdej zwrotce złowróżbnym refrenem. Śnieg prószył coraz gęściej, babcia śpiewała coraz ciszej, i w końcu cisza grobu utuliła ją na wieki. Na scenie zjawił się fizyk miejski który obojętnie skonstatował zgon, a za nim dwóch grabarzy wyniosło martwe zwłoki.

Oto urywek tekstu:

Tak jak mnie dzisiaj tu widzicie
Babunią starą i zgrzybiałą,
I we mnie kiedyś drgało życie,
I świat ubóstwiał moje ciało.
Tłumnie klęczeli u mych stóp
Hrabiowie, księża i bankierzy —
Czy który, patrząc na mój grób
Pozna co tam pod spodem leży?

Wiatr za szybami śmieje się:
Psiakrew to życie takie złe!
Stanie się co się musi stać,
Ot, lepiej, ludzie, idźcie — spać.

Bywało nieraz, przy niedzieli,
Przychodził do mnie chłopiec żwawy,
Najpierw użyliśmy kąpieli,
A potem innej znów zabawy.
Ach, jak on brał w ramiona mnie,
— Dziś już tak kochać nie umieją!

Na to wspomnienie jeszcze drżę,
Jeszcze się stare oczy śmieją.

Wiatr za szybami etc.

Pamiętam jak go potem brali:
— Biedactwo, skradł zegarek złoty —
Jak mi nieludzko go szarpali
Wydarłszy z objęć mej pieszczoty.
Pod topór oddał głowę swą,
Ach, ludzie, ludzie czy szakale!
Czyż wiecznie będzie w świecie zło —?
Nie widzę polepszenia wcale!

Wiatr za szybami etc.

Spojrzałem po sali: wiele osób płakało.

Następną „raną społeczną“ był nieodzowny apasz. W kaszkiecie nasuniętym na oczy, w kurtce zapiętej pod szyję, z długim kuchennym nożem w ręce, wił się po scenie, czaił, przysiadał, opowiadając, na nutę udramatyzowanego gassenhauera (Tralala), dzieje swojej pierwszej zbrodni:

. . . . . .

Mignął mi burżuja tłusty kark z za węgła,
Ma dłoń go sięgła;
Runął jak głaz.
Próżno trwożnym głosem o ratunek żebrze,

Ja, drżąc jak w febrze,
Zadaję raz.

Absyntu szklanka,
Śmierć ma kochanka,
etc. etc.

Wogóle konsumpcya absyntu przez polską muzę kabaretową była znaczna.

Na usilne żądanie publiczności tenże sam apasz odśpiewał ulubioną piosenkę Henryka Zbierzchowskiego p. t. *Walc nocy*, dziś już spopularyzowaną po całej kuli ziemskiej pod nazwą *Valse brune*:

Gdy noc zapada,
Nim światła latarń pogasną,
Wieszcz po melodyę się skrada,
By wydrukować jak własną.
Oto już siódme wydanie,
Zanim się zbrodnia odkryje,
Kupujcież, kupujcież, dranie,
Raz tylko jeden się żyje!....

Dalszy ciąg notatek niestety mi zaginął.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Tadeusz Boy-Żeleński](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Markiza i inne drobiazgi

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Piotr433
- NiktWażny
- Igor123121
- Wieralee
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium